DWUMIESIĘCZNIK KOŁA KRAJOZNAWCZEGO
IM. PROF. LUDOMIRA SAWICKIEGO, UCZNIÓW PAŃSTWOWEGO
GIMNAZJUM IM. KRÓLA STANISŁ. LESZCZYŃSKIEGO W JAŚLE.

Nr. 2 (26). Marzec - Kwiecień 1937 r.

Rok VI.

MŁODY GEOGRAF

TREŚĆ

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: JASŁO, PAŃSTWOWE GIMNAZJUM.

REDAKTOR: PROF. JÓZEF STAŚKO.

Czcionkami Zakładu Graficznego BRACI SKRUDLIK W JAŚLE — Targowica 9.

St. W.

Nasze góry w historii.

Interesującą jest rzeczą pytanie, jaką rolę odegrały Karpaty w historii stosunków politycznych Polski z Węgrami. Karpaty, góry łatwe do przebycia, o licznych przełęczach, nie miały tej historii, co Alpy, góry znacznie większe. I jeżeli nie wskutek braku przełęczy, to ze względów terenowych i znacznych przestrzeni, przejście przez Alpy tworzyło znaczne trudności, jednak jakże bogate są w historię Alpy, jak małą stanowiły przeszkodę dla inwazji różnych ludów do Italii. Przechodzili przez Alpy Gallowie, przeszedł na podbój Rzymu Hannibal, później odwrotna wędrówka Rzymian do Galii, Nadrenii, Anglii, Hiszpanii. Z upadkiem państwa rzymskiego Germanie zalali Italię, wreszcie wędrówki ludów nie pominęły półwyspu apenińskiego. Dawna polityczna potęga Rzymu, oparta na zbrojnych podbojach, zamieniła się w podbój Europy chrystianizmem. W miejsce zbrojnej potęgi imperatora nastała duchowa potęga papieża, — cywilizacja rzymska w formie chrystianizmu promieniowała z za Alp na całą Europę zachodnią i środkową. W rozbite politycznie Włochy urządzały jednak wojska niemieckie najazdy. Francja z czasów Napoleona wyładowała pierwszą ekspanzję polityczną zdobyczami wojennymi Włoch północnych, wówczas austriackich. W końcu wojna światowa nie oszczędziła Alp w długotrwałych walkach pozycyjnych w górach.

Jakże ubogo przedstawia się historia Karpat w porównaniu z historią Alp. Nie było ani większych wędrówek ludów, a jak niewiele przemarszów, wojsk i bitew, zwłaszcza w historii sąsiadowania Polski z Węgrami. Stwierdzić możemy, że od chwili powstania i utrwalenia się nad Karpatami Polski i Węgier, jako sąsiadów, nie było właściwie między tymi państwami ani wojen ani większych najazdów. Przyczyną tego były odmienna historia i cele tych państw.

Przed osiedleniem się Węgrów w nizinie pannońskiej zatrzymywali się w niej stepowe ludy mongolskie, najeżdżające Europę, jak Hunnowie, Awarowie, Tatarzy, Kumanowie. Węgry były dla nich bazą operacyjną, skąd urządzali dalsze napady. Gdy Madziarowie, szczep mongolski z Turkestanu, wpadł w X. w. do niziny pannońskiej, było ich wówczas w porównaniu z tubylczą ludnością słowiańską około 10⁰/₀. Lud stepowy poczuł się na urodzajnej nizinie, częściowo o stepowym charakterze i łagodnym klimacie, jak w ziemi obiecanej. Na tej nizinie pannońskiej osiadł na stale. Górując w porównaniu z miejscową ludnością zdolnością organizacji politycznej, właściwej ludom

stepowym, nie dał się zesłowiańszczyć, przeciwnie zmadziaryzował słowian i to w granicach niziny węgierskiej. Góry (Słowacja) pozostały słowiańskimi, lub niezaludniony Siedmiogród przyjął później w XIII w. (po napadach tatarskich) chroniących się w góry przed Tatarami Wołochów (Rumuni). Część tych Wołochów wcisnęła się w niezaludnione Karpaty polskie aż pod Tatry. Są to dzisiejsi Łemkowie. Od chwili osiedlenia się w nizinie pannońskiej, Węgrzy okazali duży zmysł polityczny. Zorientowawszy się, że ze strony Austrii grozi im inwazja w imię szerzenia chrześcijaństwa, nie tylko, że sami przyjęli chrześcijaństwo, ale król Węgrów przyjął koronę wprost od papieża (król apostolski), aby odebrać „cesarzowi rzymskiemu narodu niemieckiego" tytuł do ekspanzji ku Węgrom. Obok pierwszego zadania: utrwalenia madziarskiego charakteru kraju, przypadło Węgrom drugie zadanie: odpierania z zachodu Niemców, którzy, o ile chodzi o Habsburgów, obrali sobie za cel zdobycie Węgier, co ostatecznie w drodze dynastyczno-małżeńskich kombinacyj udało się im osiągnąć. W końcu przyszło trzecie zadanie: obrony niepodległości Węgier od Turków, którzy część Węgier zdobyli i w nich jakiś czas panowali. Wobec tylu zadań, absorbujących w ciągu wieków naród węgierski, nie mógł on sam podjąć się ekspanzji na inne kraje, Wypad króla węgierskiego Macieja Korwina w r 1478 do Polski, czy też wypad Rakoczego w czasie najazdu na Podkarpacie polskie są tylko drobnymi fragmentami — tak, że właściwie Węgrzy nigdy nie prowadzili wojen z Polską, której ekspanzja również nie zwracała się nigdy na południe. Polska od zarania utrwalenia swego bytu państwowego aż do Grunwaldu broniła się przed zachłannością zachodniego sąsiada, zaś od wschodu była zaabsorbowana ciągłymi wojnami. Na wschód rozwinęła Polska swą ekspanzję polityczną, czyto łącząc się dobrowolną unią z Litwą i należącymi do niej ruskimi ziemiami, czy też wojując z Moskwą i Tatarami. Otwarta wschodnia granica Polski i nieustalona linia etnograficzna i wyznaniowa od wschodu skierowały misję dziejową Polski na wschód, przy czym charaterystycznym jest to, że Polska przyłączyła do swego organizmu państwowego ziemie litewsko-ruskie nie w drodze militarnego podboju, lecz w drodze dobrowolnej unii dwu państw. Z Moskwą i z Turcją prowadziła Polska tylko wojny obronne u granic swego państwa. Będąc zaabsorbowaną wschodem nie interesowała się Polska południową granicą, a z Węgrami istniały nawet dobre stosunki dynastyczne. (Ludwik Węgierski, Jagiellonowie, Batory).

Dopiero ze zmianą stosunków politycznych, po rozbiorach Polski, Karpaty stały się widownią przemarszów obcych armii i wojen. Jeszcze przed pierwszym rozbiorem Konfederaci Barscy z Pułaskim na czele, napierani przez Moskali, schronili się w Karpaty (Sądeczyzna, Spisz, Lanckorona) i tu stawiali czoło nawale rosyjskiej. W roku 1799, już po utracie niepodległości, w czasie wojen napoleońskich, Rosja szła w pomoc Austriakom do Lombardii, a gen. Suworow przekroczył Karpaty w okolicy N. Sącza i Dukli. W roku 1848, w czasie powstania Węgrów przeciw Austrii, ponownie przyszła Rosja w pomoc Austrii, przechodząc ze 100.000 armią przez Karpaty na Węgry.

Reminiscencje tego pochodu długo pozostały w miasteczkach podkarpackich. W końcu przyszedł moment, że losem pobitej Polski złączeni dotąd zaborcy sami między sobą rozpoczęli wojnę, wojnę światową, którą obok innych przyczyn wywołała zbrodnia rozbioru Polski. W wojnie tej, o ile chodzi o Austrię i Rosję, Karpaty odegrały dominującą rolę. Otwarta granica byłej Galicji od północy nie zabezpieczała militarnie Austrii, lecz dopiero Karpaty. Już przed wojną, Austria, licząc się z możliwością opuszczenia Galicji przed natarciem Rosjan, przygotowała obronę Karpat, względnie jej najważniejszej przełęczy pod Duklą. Tu odbywano większe manewry, jak n. p. w r. 1900 (pamięta je dobrze Jasło) i w r. 1912. Te przewidywania potwierdziły długotrwałe walki Rosjan z Austriakami w Karpatach. Walczyły też w Beskidzie Wschodnim Legiony Polskie (Żelazna Brygada), broniąc bohatersko przełęczy pantyrskiej przed inwazją Rosjan na Węgry. Walki w Karpatach zakończyły się klęską Rosjan pod Gorlicami w dniu 2. maja 1915 r. Tu rozegrała się przed 22 laty jedna z największych bitew w wojnie światowej, a najdonośniejsza w swych skutkach politycznych. Bitwa ta może nas interesować i z tego powodu, że rozegrała się nie daleko Jasła, że w Jaśle było dowództwo armii rosyjskiej, która tę bitwę przegrała, że w końcu w armii niemieckiej walczyło dużo Polaków. Austria bowiem przydzieliła do tej armii najlepszą dywizję, jaką miała, złożoną z pułków: cieszyńskiego, wadowickiego i nowo-sądeckiego t. j. z samych Polaków.

C. d. n.

Józef Staśko.

Kraj między Wschodem a Zachodem...

(RUMUNIA)

Jesteśmy świadkami zacieśnienia coraz bliższych stosunków między Polską a Rumunią. Zjawisko to pozostaje w związku z położeniem obu tych państw na bardzo ważnym międzymorzu Bałtyk-Morze Czarne, jeszcze dotychczas niewyzyskanym tak pod względem handlowym, jak i strategicznym. Rumunia odstąpiła Polsce część portu w Constantcy, skąd utrzymujemy obecnie stałą żeglugę na bliski Wschód do Istambułu i Jaffy przy pomocy własnych statków pasażerskich i towarowych. Polska natomiast dostarcza swej sojuszniczce stałego kontyngentu turystów i wycieczkowców, rozkoszujących się na plażach pontyjskich Mamaia, Mangalia, Carmen Sylvia i innych, wśród upalnego słońca Południa.

Handel jednakże między obu państwami jest narazie stosunkowo słaby, a to spowodu rolniczego wybitnie charakteru i Polski i Rumunii. Ale może się rozwinąć handel tranzytowy z innych krajów bałkańskich przez Rumunię do Polski i dalej na północ do krajów bałtyckich (wykorzystanie drogi Constantca-Gdynia) i odwrotnie. Pozatem Polska może wysyłać do Rumunii towary

gotowe, których tak dużo sprowadza ta ostatnia choćby tylko z odległej Francji lub Anglii, a wzamian za nie Polska mogłaby otrzymywać owoce i tytoń.

Niemniej ważną od handlowej jest wymiana kulturalna między obu państwami. Istnieje ona zaledwie od kilku lat, a już wydała doskonałe wyniki tej wspaniałej współpracy.

Przyjrzyjmy się teraz dokładnie tej oryginalnej i niezwykłej krainie leżącej między Wschodem a Zachodem Europy. I pod względem krajobrazowym i ludnościowym jest to kraj ciekawy. Różnorodności krajobrazów i bogactwu form powierzchni ziemi towarzyszą rozmaitość etniczna tak co do pochodzenia człowieka, jak i typów spotykanych wszędzie na każdym kroku.

Chociaż w Rumunii bawiłem krótko, bo tylko w przejeździe, ale zato było to dwukrotnie i diatego utkwiły mi w pamięci te właśnie wybitne cechy wysuwające się na pierwszy plan. Rumunia posiada pod każdym względem cechy zachodnioeuropejskie, jak i pierwiastki odnoszące się do wschodniej Europy

W zachodniej Rumunii mamy potężny łańcuch gór młodych i górzyste kotliny i wyżyny, bogactwo urzeźbienia pionowego — świadczą one tylko o przynależności do Zachodu. Podczas kiedy na wschodzie Rumunii legły ogromne bryły starych i zniszczonych masywów i płyt, jak Dobrudża i Besarabia. Jak w zachodniej części państwa znajduje się mnóstwo bogactw mineralnych i źródeł, tak na wschodzie kompletnie niczego nie znaleziono, coby zasługiwało na eksploatację. Jak w zachodnich krainach mamy przepyszne ogrody, żyzne i głębokie doliny i nieprzejrzane puszcze leśne, tak na wschodzie rozpościerają się same nagie stepy i równiny dziś wprawdzie wzięte pod uprawę ziemi, ale od czasów żniw aż po wiosnę zupełnie pustką leżące.

To samo odnosi się i do ludności. Gęstość zaludnienia Siedmiogrodu czy wschodnich i południowych stoków Karpat zupełnie podobna jest jak wszędzie w zachodniej Europie, ale zato w przeciwieństwie do tego pozostają słabo zaludnione obszary wschodnie podobne bardziej do rosyjskich i kaspijskich równin stepowych.

Sam człowiek też jest niezwykły i Rumunia właściwie dzieli się na dwie wybitnie różniące się krainy — zachodnia uznaje religię rzymsko-katolicką, wschodnia prawosławną, zachodnia mówi różnymi językami, głownie po niemiecku czy węgiersku, wschodnia po rumuńsku, a nawet rosyjsku i tatarsku. Wprawdzie i język rumuński i sam naród rumuński zaliczamy do kultury romańskiej (rzymskiej), ale ludność właściwie jest pochodzenia zupełnie obcego.

Warto tu zatrzymać się dłużej nad tą sprawą. Pierwszymi najeźdzcami, którzy tu przybyli i podbili tubylców nieznanego języka i pochodzenia, byli Agatyrsowie i Scytowie. Po nich wtargnęli tu Celtowie, którzy tak samo jak ich poprzednicy zlali się w zupełności z ludnością tutejszą. Wszystkie te ludy były koczownicze i pasterskie. Aż przyszli tu Rzymianie (w I. wieku po Chrystusie). Opanowali Dację i Trację umocnili swoje panowanie przez fortyfikacje nad Dunajem, wały w Dobrudży sypane przeciw dzikim hordom ze stepów idących, a wreszcie narzucili swój język, pismo i kulturę.

Po upadku Rzymu wtargnęły na ziemie rumuńskie ludy słowiańskie, ale już nie w celach podbojowych, lecz parte przez inne z północy i wschodu zwolna posuwały się na południe i zachód i osiedlały się, gdzie tylko wolną znaleźli przestrzeń. W ten sposób zmieszali się z ludnością miejscową i podzielili los pierwszych przybyszów, roztapiając się w szerokiej masie starych Traków, Daków czy Gotów. Mimo wielkich różnic językowych tych wszystkich ludów przewagę miała łacina, która zwolna przekształciła się w dzisiejszy język rumuński dzielący się zresztą na mnóstwo dialektów i gwar, zależnie od tego, czy dana dzielnica kraju była pod większym czy pod mniejszym wpływem Rzymu. Dlatego to w języku rumuńskim mamy tyle wyrazów słowiańskich, tatarskich czy trackich.

W późniejszych wiekach na ziemiach rumuńskich utworzyły się dwa państwa samodzielne, choć pokrewne sobie i językiem i duchem kultury: Mołdawia na wschodzie łącznie z Bukowiną i Besarabią, oraz Wołoszczyzna na zachodzie z Banatem i Transylwanią jako właściwym ośrodkiem Rumunii. Ten podział był często tylko prowizoryczny i iluzją, albowiem i językowo i kulturalnie ludność wszędzie była jednakowa, nic dziwnego, że w końcu oba te państwa zlały się w jeden organizm polityczny.

Do zjednoczenia etnicznego całego narodu i zachowania pierwotnych cech kulturalnych przyczyniły się głównie elementy krajobrazowe i gospodarcze jak rozległe stepy i hale górskie, wąwozy i głębokie doliny karpackie, szerokie trakty handlowe biegnące przez kraj wzdłuż i wszerz, a łączące różne okolice w jednolitą całość, a wreszcie zwyczaje i obrzędy ludowe obchodzone stale wszędzie te same i tradycyjnie przechodzące z pokolenia na pokolenie.

Jak ta ludność rumuńska wygląda dzisiaj, możemy przyjrzeć się dokładnie, jadąc na Huculszczyznę. Huculszczyzna to ta pierwotna wyspa etniczna zakopana i ukryta wśród gór i lasów, która zachowała się dotąd zdala od cywilizacji i kultury, żyjąca własnym życiem, gdzie rządzi prymityw i zacofanie. Otóż Huculi pochodzenia wołoskiego, choć mówią po rusku, są takimi przedstawicielami danego szczepu koczowniczego i pasterskiego, do jakiego zaliczyć możemy i Wołochów i Mołdawian, są uosobieniem i wyobrażeniem chłopów i pasterzy rumuńskich.

Rumuni, choć przynależą do rasy łacińskiej, a więc żywej, zuchwałej, upartej i wojowniczej — mają temperament powolny i nacechowani są głęboką melancholią. W ich pieśniach i poezji, w ich duszy i całej duchowej łączności ze światem widnieje bezmiar smutku i rzewności tak rozległej jak stepy, które są ich życiem i domem. To samo można powiedzieć o Hucułach, choć ci nie są przynależni do rasy łacińskiej.

Jadąc pociągiem bukaresztеńskim, widzi się przez szerokie okna pullmanu niezmierzone równiny, na których właśnie odbywają się żniwa. Wsie rzadkie i duże, a pola ciągną się daleko, nieraz do kilkanaście kilometrów od chat wieśniaczych. Wyjeżdżają więc ze wsi na cały czas żniw do swoich pól, a w domu zostają tylko starcy i małe dzieci. Widzi się całe rzędy szałasów i bud słomą krytych, a obok ognisko, garnki i kociołki, wozy i żywy

dobytek w postaci świń żerujących, krów i koni pasących się na suchej trawie upalonej od słońca. Tak koczują w swym prymitywie i bez żadnych wygód i kulturalnych potrzeb, gotując sobie mamałygę trzy razy dziennie i zajadając ją ze słoniną, a śpiąc na matach ze słomy, a często na gołej ziemi, zaledwie przykryci kożuchami od nocnych chłodów czarnomorskich, zaledwie zasłonięci od wiatrów czy upalnego słońca.

Ten prymityw ludu rumuńskiego towarzyszy nietylko rolnikowi na żyznej, czarnej ziemi Mołdawii. Spotykamy go też w Dobrudży lub w górach Transylwanii. Stada białych wołów i krów rozrzucone po niezmierzonych pastwiskach, a obok nich pasterze na koniach z batogami na kilka metrów długimi i w kapeluszach słomianych i szerokich jak parasol. W jaskrawym słońcu, które praży niemiłosiernie i zsyła upalne swe promienie na ziemię, rzadko rozrzucone domostwa podobne do maleńkich kurników, wszystkie zaopatrzone w długie ganki nieraz biegnące dokoła dachu, tu i tam tonące w gajach śliw i moreli.

Oto typowy krajobraz Rumunii.

A przyjrzyjmy się teraz stolicy jej, będącej podobnym odbiciem wszystkich jej cech jako państwa leżącego między Wschodem a Zachodem. Wszystkie pierwiastki kultury zachodnioeuropejskiej możemy znaleźć w Bukareszcie, ledwie wysiądziemy z pociągu Gdynia-Constantca. Nie nadarmo nazywają Bukareszt Małym Paryżem.

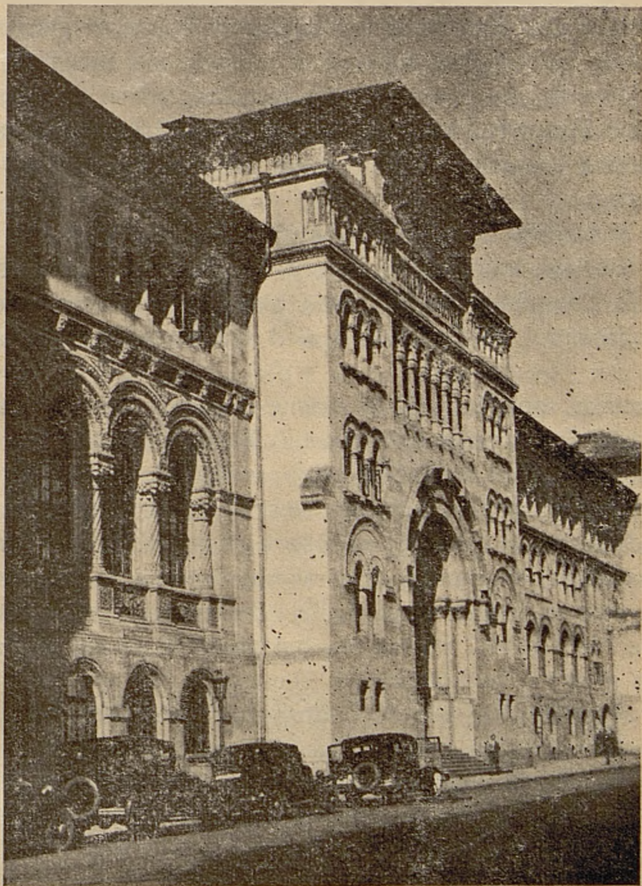
Powstał on na rozległej dolinie na przecięciu się dwóch ważnych szlaków handlowych biegnących z północy ku Dunajowi i z zachodu ku morzu Czarnemu, oraz w pobliżu połączenia się rzek Dambowica i Arges. Posiada dzisiaj około 900 000 mieszkańców i wspaniale się rozwija zwłaszcza w ostatnich czasach po przyłączeniu do Rumunii ziem leżących na zachód od Karpat, oraz Besarabii. Od wojny światowej, kiedy to obszar Rumunii powiększył się prawie dwukrotnie, również i liczba mieszkańców Bukaresztu szalenie wzrosła i miasto się wzbogaciło. Wprawdzie stolica nie leży w środku państwa, tylko ma położenie bardziej odśrodkowe, bo blisko granicy bułgarskiej, ale jest to granica naturalna i wybitnie obronna, od wieków silnie umocniona, a tą granicą jest Dunaj o zabagnionym i rozległym wybrzeżu co roku zalewanym na kilka kilometrów.

Bukareszt jest kwintesencją tego wszystkiego, co się wogóle widzi w Rumunii, jest stolicą wielkopańską, a zarazem posiada niezwykłe dzielnice wschodnie o typowym charakterze miasta orientalnego, upodabniające się bardziej do dzielnic Stambułu czy jakiegoć Charkowa.

Mały Paryż — bo w centrum nowożytnego Bukaresztu przebiega pierwszorzędna arteria komunikacyjna, bulwary Elżbiety, Akademii i Karola I. podobne do bulwarów paryskich nietylko z zewnętrznego, eleganckiego wyglądu i olbrzymich wystaw sklepowych, magazynów i gmachów, ale i z ruchu samochodowego i z jaskrawego oświetlenia wieczorem.

Na ocienionych wspaniałą zielenią placach wznoszą się liczne pomniki, wśród których wyróżniają się wojewody Michała Dzielnego, twórcy nowożytnego

państwa rumuńskiego po wyzwoleniu się spod panowania tureckiego (rok 1600), oraz Jana Bratianu, wybitnego polityka w w. XIX. Przy tej głównej osi stolicy obcy przybysz podziwia przepyszne frontony gmachów takich, jak uniwersytet, ministerstwo pracy, akademię architektury i inne, budowane w stylu wołoskim, narodowym, polegającym na połączeniu pierwiastków bizantyjskich z monumentalnością i cech zachodnioeuropejskich w jedną oryginalną całość.



Rumunia — Bukareszt. Szkoła architektury.

W pewnym miejscu bulwar Elżbiety dotyka rozległego parku Cismigiu, który wieczór zupełnie inaczej wygląda niż w dzień, gdzie oświetlone różnokolorowymi światłami fontanny i ukryte wśród gąszczy i kwietników lampy wysyłają na chodniki tajemnicze blaski. Mieni się woda stawów tęczami barw, migocą poruszane wiosłami łódek fale.

Bulwary przecina główna ulica handlowa śródmieścia, Calea Victoriei, przy której mieści się cały rząd pałaców i dużych gmachów. Wyróżniają się tutaj: Kasyno wojskowe, do którego na szeroki taras idzie się wysoko po schodach, Teatr Narodowy, stosunkowo skromny pałac królewski utrzymany

w stylu klasycznym z kolumnadą koryncką, renesansowy gmach uniwersytecki fundacji króla Karola I, Ateneum z ogromną salą koncertową, oraz wiele drapaczy nieba i wyniosłych kamienic, wśród których wyróżnia się 10-cio piętrowy gmach telefonów.

Prócz tej ulicy Bukareszt może poszczycić się jeszcze nową arterią komunikacyjną, zbudowaną w latach 1934-36 ponad zasklepioną rzeką Dambowicą, o pięknych perspektywach i alejach, gdzie napróżno szukałem rzeki, którą poprzednio dwa lata wstecz widziałem wraz z szeregiem hal targowych, tłumami biedoty sprzedającej wprost na ulicach nad brzegami mętnych wód rzecznych. Nowa ta arteria wiedzie na wzgórze, gdzie wznoszą się rządowe gmachy: Pałac Sprawiedliwości, Pałac Metropolity i Parlament Szybko rwie gładkim asfaltem samochód i nie sposób obejrzeć szczegółów całego nowożytnego miasta.

Jeżeli nas znuży ruch i hałas wielkomiejski, udamy się czterorzędową aleją Szosy Kiselew, którą mkną sznury innych samochodów daleko na północ poza Łuk Triumfalny do parków i basenów pływackich, do zacisznych kawiarń i ogródków zamiejskich. I pod tym względem Bukareszt przypomina Paryż.

Tymczasem zapuśćmy się w ciasne i wąskie zaułki i chaotycznie pobudowane dzielnice starego Bukaresztu. Tłumy kupujących i sprzedających cisną się po chodnikach. Każdy sklep wystawia wprost na ulicy połowę swoich towarów. Chłopi w długich koszulach zgrzebnych, boso, o długich gęstych brodach, mimo upału w czapkach baranich, proszą o kupno słodkich gruszek, brzoskwiń lub moreli, którymi obładowane są ich kosze zawieszone na noszach, wprost na jego plecach. Tu i ówdzie kręcą się wieśniaczki o przepysznych wzorach haftów na rękawach i gorsach swych koszul i pozawijanych dokoła głowy różnokolorowych chustek w rodzaju zasłon czy turbanów. Możemy tu spotkać także górali w kierpcach i wełnianych czuchach białych i nieozdobionych żadnym haftem. Wśród tlumów przeciskają się jadący wózkami lub na osiołkach pasterze lub rolnicy sprzedający nabiał, ser i jarzyny.

W tych dzielnicach brak bruków, a jeżeli gdzie są, to „kocie łebki“ lub dziury niczem w naszych kresowych miasteczkach na Wołyniu. Kurzawa, pył, smród, woń zgniłych jarzyn, zepsutego mięsa czy potu ludzkiego, krzyki, wrzawa, ryki zwierząt to wszystko łączy się razem w jeden bezustanny obraz fantastyczny dla oczu, ale niezbyt miły dla nosa i uszu. Kiedy jesteśmy zmęczeni i siadamy przy stoliku kawiarni ulicznej, do tych targających nasz słuch hałasów dochodzą jeszcze śpiewy i melodie dobywające się z radia, z gramofonu czy wreszcie z ust jakiejś przygodnej lub zaangażowanej śpiewaczki oraz z cymbałków czy fleta jakiegoś biedaka w ten sposób zarabiającego na życie.

Co chwilę przynoszą ci do stolika różni sprzedawcy to gazety, to orzeszki, to miód lub ciastka, cukierki czy pieczone ryby — wszystkich trzeba traktować pobłażliwie i z czystym spokojem rzeczywistego Wschodu, którego dusza wyziera tu z każdego kąta.

To także jest Bukareszt — miasto leżące na pograniczu Wschodu i Zachodu,

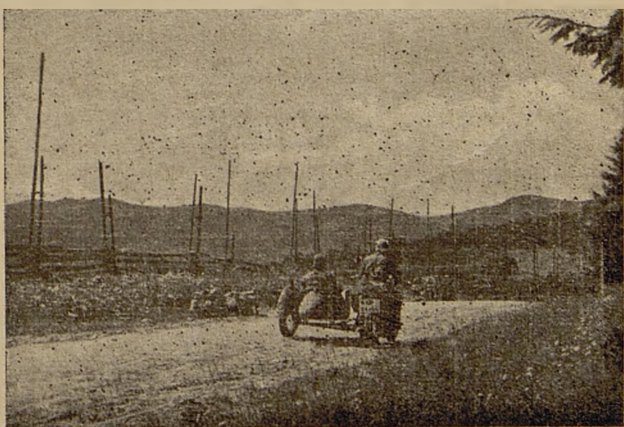
W. Walczak, student U. J.

Na górskich drogach Huculszczyzny...

(DOKOŃCZENIE)

Przed nami jak na dłoni dolina Czeremoszu, a właściwie narazie jego dopływu Krywca, z wijącą się serpentynami w dół biało-szarawą wstęgą drogi. Na horyzoncie potężne pasma Diłu, Poharu i Kostrzycy sino-zielone od lasów, w które wcinają się jasne języki połonin. A bliżej ciągnące się tuż od drogi całe połacie kwietnych łąk, urozmaicone plamami z rzadka rozrzuconych szałasów i pojedynczych grup drzew. Droga biegnie czasami wśród prawdziwych labiryntów dziwacznych huculskich płotów woryniami zwanych charakterystycznych swymi kilkumetrowej długości pionowymi żerdziami.

Kilka kilometrów lecimy w dół na wyłączonym biegu, a w dole przykra niespodzianka, bo mimo, że po włączeniu biegu motor pali lecz zwolna tracimy szybkość i wreszcie stajemy. Pospiesznie szukam przyczyny i pokazuje się, że pękł klin łączący przenośnię z wałem pracującym. Jechać dalej nie można, decyduję się więc na marsz do odległego jeszsze coś 12 km. Żabiego dla znalezienia jakiegoś kowala, któryby dorobił nowy. W drodze jakoś szczęście mi służy, bo dosiadam się na jadącą z Worochty dorożkę, tak że po jakiej przeszło godzinie jestem w żabiowskiej kuźni i wnet z gotowym nowym klinem wracam w miejsce naszego pierwszego defektu. Droga powrotna wlokła się o wiele dłużej, gdyż w całości musiałem przebyć ją pieszo, ale przygotowany przez Karola obiad i po kilkunastu minutach gotowy do drogi motor znakomicie naprawiły nastroje.



Z Worochty do Żabiego na wododzielnym grzbiecie między Prutem a Czeremoszem. Fot. W. Walczak.

Jedziemy dobrą choć wązką drogą wzdłuż potoku Krywca, po obu stronach strome, zalesione potoki górskie, to znowu dolina trochę rozszerza się

i widać na łąkach sznury woryni i rozrzucone chaty-szałasy t. zwane z huculska „burdenie".

W pewnej chwili dolina znów zwęża się gwałtownie i nagle nad drogą wyrasta potężna ciemno-szara olbrzymia skała zamykając całą dolinę i drogę. To słynny ze swej dzikiej malowniczości przełom Krywca. Droga w nagłym szalonym skręcie okrąża występ skalny zamykający na pierwszy rzut oka szerokość wąskiej dolinki i wpada szczeliną między pionowymi ścianami skalnych warstw, ledwo między nimi przeciskając się wraz z potokiem. Niezapomniany urok i dzikość wieją od tej skalnej gardzieli toteż po przebyciu jej gdy stoi już otworem szeroka piękna ujściowa dolina Krywca, czuje się jakby żal, że ten piękny, emocjonujący fragment drogi jest już poza nami. Wkrótce docieramy do rozrzuconych w dolinie i na niższych stokach pierwszych domów przysiółka żabiowskiego Ilci. Wnet mijamy Ilcię i wpadamy do Żabiego Słupejki. Przed nami błyszczy wspaniale srebrzystą łuską migotliwych fal wstęga Czarnego Czeremoszu, wijąca się u stóp ciemno-zielonych zboczy Hedii, Krętej i Pohara. Wolno, rozglądając się, defilujemy przez Żabie, witają nas roześmiane twarze letników, a litery K R. naszej rejestracyjnej tabliczki sprawiają, że patrzą tu na nas z pewną dozą podziwu coś jakby na egzotycznych gości.



HUCUŁ. Fot. W. Walczak.

Śmieją się do nas wesołe oczęta huculskich „pędraków", uśmiechają się beztrosko urodziwe (dość rzadko) „mołodycie", wesołe miny mają mijani urodziwi (przeważnie) mołojcy, co z wysokości swych kulbak dziarsko spoglądają przed siebie. Wszystko tu takie wesołe, beztroskie, począwszy od jasnych promieni słońca, srebrzystej wstęgi Czoremoszu, a skończywszy na barwnych plamach huculskich strojów. Wszystko się śmieje, wszystko wesołe, cieszące się życiem, barwą, słońcem.

Za Żabiem jedziemy dalej doliną Czeremoszu, droga od czasu do czasu wspina się na pagórek to znów zbiega w dół. Wnet jednak opuszczamy Czeremosz i zaczynamy piąć się w górę na wododzielne pasmo Ihreca ku przełęczy Bukowiec, przez którą prowadzi droga na drugą stronę w dolinę Rybnicy i do Kosowa W pewnej chwili gaźnik zaczyna kichać i motor pracuje coraz słabiej, trzeba poświęcić kilkanaście minut na rozebranie gaźnika i przeczyszczenie go z kurzu.

Tymczasem szybko zapada mrok, wnet w dolinie robi się szaro, tylko jeszcze szczyty gór różowią się ostatnimi promieniami zachodzącego słońca. Powoli, z wysiłkiem pokonujemy szalone stromizny, pnąc się coraz wyżej i wyżej ponad 1000 m. nad poziom morza Lecz wreszcie upragniony szczyt pasma i zjazd w dół w ciemną już zupełnie dolinę. Z nogą na hamulcach zjeżdżamy powoli biegnącą w zakosach ostro w dół drogą, która w mrokach ledwie majaczy wśród czarnych ścian boru. Daleko w dole jak dwoje oczu widnieją coraz bardziej rosnące okna jakiegoś domu. Jesteśmy coraz bliżej, zbliżając się cicho jak duchy na zgaszonym motorze, — słychać już głosy ludzi, ktoś śpiewa zawodząc, słychać już brzęczenie uprzęży koni, których kilka z wozami rysuje się w świetle reflektoru na placu przed oświetlonym dużym domem — nagle z pod tylnego koła dolatuje rozgłośne klaśnięcie i w sekundę potem stuk ramy koła o drogę. Zatrzymuję motor natychmiast, tylna kicha rozwalona co się zowie. Otaczają nas postacie hucułów, którzy na widok światła reflektoru wybiegli z domu, będącego jak się pokazało olbrzymim starym karczmiskiem, zjawia się i karczmarz z latarnią w ręku witać gości, co mu tak spadli z nieba i zaprasza na noc — co robić, dalsza jazda dziś niemożliwa, a łatanie po nocy także nic przyjemnego, decydujemy się więc na nocleg i garażujemy naszego rumaka na bojsku stodoły karczmarza, a uporawszy się z tem i przekonawszy się, że motor z naszym dobytkiem bezpiecznie zamknięte, kierujemy się do izb gościnnych.

Z otwarciem drzwi do wielkiej izby szynkowej buchnęła para oddechów zmieszana z dymem fajek i wonią alkoholu Na ławach, na podłodze, a nawet na stołach leżało i siedziało kilkudziesięciu Hucułów i Hucułek pijanych do ostateczności. Szczególnie zaś utkwił w pamięci obraz starego, mocno siwego chudego jak szczapa Hucuła, grającego na prostej piszczałce, z której wydobywał jakąś dziką, przeraźliwą melodię o powtarzającym się jednym i tym samym motywie.
Co chwilę któryś z młodszych dźwigał się z ławy i jak urzeczony dziką melodią piszczałki podchodził zataczając się do grajka i wtórował mu chwilę dziką jak tony instrumentu przyśpiewkę po której znowu zaczynało się wypróżnianie butelek, a śpiewak walił się z nóg na leżących na podłodze towarzyszy, aby być zastąpiony przez innego.

Długo patrzyliśmy na ten niesamowity obraz, jaki tworzyły jasne plamy kapturów i koszul Hucułów na tle ciemnych ścian izby, oświetlone słabym żółtym światłem wysoko pod pułapem zawieszonej wśród obłoków dymu fajkowego naftówki. Zdawało się, że odżyły w tym samotnym karczmisku wśród

bogactwa Polski. Widzimy więc, jaką wariość dla Polski przedstawia ten „Czarny Śląsk“. Bez Śląska nie moglibyśmy wyobrazić sobie bytu przemysłu polskiego, a zarazem i całej Polski. To też tymbardziej powinniśmy oceniać wartość tej małej obszarem, lecz olbrzymiej bogactwem krainy polskiej, tego jądra przemysłu polskiego, bo —

„Ta czarna, smętna, dymna kraina,
Co pod brzemieniem pracy się zgina,
Co wre, tętni życiem, pracą dyszy,
Co prócz zgiełku, niczego nie słyszy,
Jest Polski naszej bogactwa ostoją,
Jest — mówi Polska — żywą duszą moją!

Najmilszy kraj na świecie...

Miasto Kobe jest portem japońskim, tworzącym wraz z Osaką blok położony naprzeciw lądu azjatyckiego, podczas gdy Tokio i Jakohama zwrócone są ku wschodowi — ku Ameryce. W samym porcie wybija się na plan pierwszy jedna z zasadniczych cech japońskich, to jest czystość. Hangary, które są we wszystkich innych miastach świata zbiorowiskiem śmiecia i kurzu, tu są jasne i czyste, wymiecione jak sale balowe.

Kulisi ubrani są w czyściutkie, niebieskie fartuchy i, o dziwo! w białe rękawiczki. Motorowi i listonosze chodzą stale w rękawiczkach.

Japończyk nienawidzi kurzu, a my, którzyśmy przybyli z brudnego wschodu obojętne czy to był brud Somalisów, Arabów, Indów czy Malajczyków, czujemy się tu jak w zupełnie innym świecie.

Początkowo jesteśmy zdziwieni wyglądem ulic.

Domy przeważnie jednopiętrowe i tak lekkie, że ma się wrażenie, iż z pierwszym podmuchem wiatru przewrócą się.

Widzimy w Japonii barwnych kimo-„obi“.

Zamiast bucików mają na nogach, opasane szerokim pasem, t. zw. „ghety“. Jest to rodzaj sandałów, w których drepcą raczej aniżeli chodzą. Są maleńkiego wzrostu. Nieproporcjonalnie wysokie fryzury, nadają im wygląd lalek, i to lalek z... cukru tak są bowiem bielutkie, o lekko różowych kolorach twarzy. Niesłychanie wiele wdzięku mają w ruchach. Im młodsze są, tem w barwniejsze kolory się ubierają. Dzieci są ubrane tu w maleńkie kimona, niebieskie, białe lub czerwone, skutkiem czego latem ulica przedstawia niebywale barwny obraz jak bal maskowy. Kobiety i dzieci robią wrażenie cudnie kolorowych lalek

W elektrycznym pociągu wiozącym nas do Osaki, spotykają Europejczyka nowe niespodzianki. Bo przecież nie zdarzyło się nikomu w Europie, by mały boy zdjął mu kapelusz z głowy, by poduszki poprawił, ażeby troskliwie pytał się o jakieś życzenia. A tak jest tu — w Japonii. Na każdej stacji wchodzi

do wagonu cała deputacja z wiadrami i miotłami i co dziesięć minut skrapia i zmiata wagon. Sprzedawczyni gazet ofiaruje pasażerom grzecznie i kulturalnie gazetę japońską, nie wykrzykując jednak przy tym sposobem europejskim czy amerykańskim. Czyni to zaś z uroczym nie narzucającym się uśmiechem tak, że nie znając nawet języka nie można jej odmówić. Płacimy, a ona dziękuje, dygając. Jesteśmy zakłopotani, i oto czujemy w ręce maleńki wachlarzyk japoński, na którym narysowany jest domek i morze i Fudżijama A więc otrzymujemy za pięć senów gazetę i, w dodatku maleńki podarek.

W kraju tym czuje się człowiek często zakłopotany, ba! nawet barbarzyńcą, zetknąwszy się z rasą, która nigdy nie zatraca swego delikatnego uśmiechu.

Przestrzeń 40 km między Kobe i Ossaką przebywa pociąg w przeciągu pół godziny, przejeżdżając przez miasteczka, wsie i jedno duże miasto. Po jednej stronie toru rozciąga się morze, pod drugiej pasmo górskie. Niestety, pół godziny minęło szybko. Już wchodzi boy, przypominając wśród uniżonych ukłonów, że dojeżdżamy do Ossaki.

Ossaka! Najludniejsze to miasto japońskie. centrum przemysłowe, liczące pół miliona mieszkańców. Już przed wjazdem do miasta widzi się setki wysokich kominów, ziejących czarnymi kłębomi dymu, przez które nawet promienie słońca się przebić nie mogą. Mógłby więc ktoś spodziewać s ę, że ujrzy piekło brudu i zgiełku Tymczasem — widzimy szerokie, przepiękne ulice, a wewnątrz miasta ani śladu fabryk. Szereg kanałów przecina miasto w różnych kierunkach, ułatwiając komunikację.

I w tym mieście domy są jednopiętrowe Gdzieniegdzie jednakowoż widać już amerykańskie drapacze chmur. Pozatym czuje się tu na każdym kroku Japonię. Nigdzie niema angielskich napisów wszędzie tajemnicze znaki japońskie. Wywołuje to w człowieku dziwne uczucie. Jakieś niepewności ale, zarazem wyzwolenia się z wszystkiego, co jest europejskie. Niema tu europejskich hoteli, ani barów amerykańskich, niema reklam! A jednak jest się w mieście wielkości Paryża.

W Kobe i Ossace są całe ulice, na których mieści się teatr obok kina a kino obok baru. Jedna z takich ulic nazywa się „Motomachi" i jest długa na kilka kilometrów. Wieczorem tonie w morzu światła i zgiełku. Wszystkie lokale są przepełnione. Samo tylko chodzenie ulicami wśród najuprzejmiejszych ludzi świata jest dużą przyjemnością.

A herbaciarnia japońska! Czyż nie robi ona stale wrażenia świątecznie przystrojonego pawilonu, przybranego kwiatami i girlandą z lamp.

Kobe jest przytym wszystkim bardziej europejskim miastem, aniżeli Ossaka, ponieważ jest portem tranzytowym. Mężczyzn widuje się tu rzadko w kimonach. We wszystkich niemal sklepach rozmawia się po angielsku. Uprzejmość ludzi jest niezwykłą. W sklepie, w którym kupuje się 5 pocztówek czy jedną brzoskwinię, jest się znacznie lepiej obsłużonym, aniżeli u nas, w Europie, nawet przy bardzo dużych zakupach.

Karol Gawlik, II b.

Z Gorganów...

Hej, góry, góry,
Nie skalane toporem kultury,
Jakże piękny jest wasz świat,
Bo gdzie stąpisz, to na kwiat,
Gdzie zaś spojrzysz, goły głaz.

Dołem lasy smrekowe,
Wyżej łąki, połoniny,
A w nich kwiaty kolorowe,
Mchy, porosty, ostrężyny.

Na nich niby płatki śniegu,
Owce pną się za ziołami,
A od lasów, do gór brzegów,
Brzmią górale piszczałkami.

Wśród tych lasów, gór i hal,
We mgle płynącej w dal,
Sterczy Doboszanka ukryta,
Jak królowa w skały wryta...